Wiwat Kobiety z naszej planety!

Wszystkim kobietom
oraz dziewczętom
Mocne życzenia
dzisiaj składamy,
bo to jest bardzo
potężne święto
Dziewczyny, Pani,
Siostry i Mamy.

My nie możemy
bez Was żyć przecież,
jak żyć nie może
ryba bez wody,
więc załączamy
to oto kwiecię
od samych siebie
i „Świata Młodych".

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 19 (2115) 7 marca 1972 r. Cena 50 gr

W dzisiejszym numerze zaczynamy — napisaną na podstawie wspomnień matki, siostry, kolegów, trenera i samego bohatera — trzyodcinkową opowieść o długiej drodze WOJTKA FORTUNY po złoty medal olimpijski.

Z CIĄGŁÓWEK DO SAPPORO

NIESPODZIEWANIE stał się sławny. Jego arcymistrzowski skok na skoczni Okurayama w Japonii, podczas XI Zimowych Igrzysk Olimpijskich, przyniósł mu złoty medal, rozgłos w Polsce i na całym świecie. A przecież Wojtek Fortuna nie był żadnym „cudownym" dzieckiem. Był zwykłym, zakopiańskim chłopakiem, któremu trudno żyć bez nart. Może trochę bardziej upartym niż inni...

PIERWSZE NARTY...

OD SAMEGO RANA sypał gęsty śnieg. Całe Ciągłówki pokryte zostały grubą warstwą białego puchu. Ogromne świerki z trudem dźwigały gromadzące się na gałęziach śnieżne czapy.

Wojtek siedzi przy oknie. Patrzy to na wirujące płatki, to w kierunku pobliskiego sanatorium, gdzie pracuje jego mama. Aż do jej powrotu musi pilnować małej siostrzyczki, Celinki. Kiedy mama wróci do domu, będzie mógł pójść na narty.

Narty od momentu, kiedy je otrzymał od ojca, stały się dla Wojtka wszystkim. Nikt nie wie, jak strasznie zazdrościł przedtem chłopakom zjeżdżającym z okolicznych górek. Bo co to za chłopak, tu w Zakopanem, który nie ma nart.

C. d. na str. 4–5

KATASTROFA SAMOLOTU W PERUWIAŃSKIEJ DŻUNGLI

Julianna Z ZIELONEGO PIEKŁA

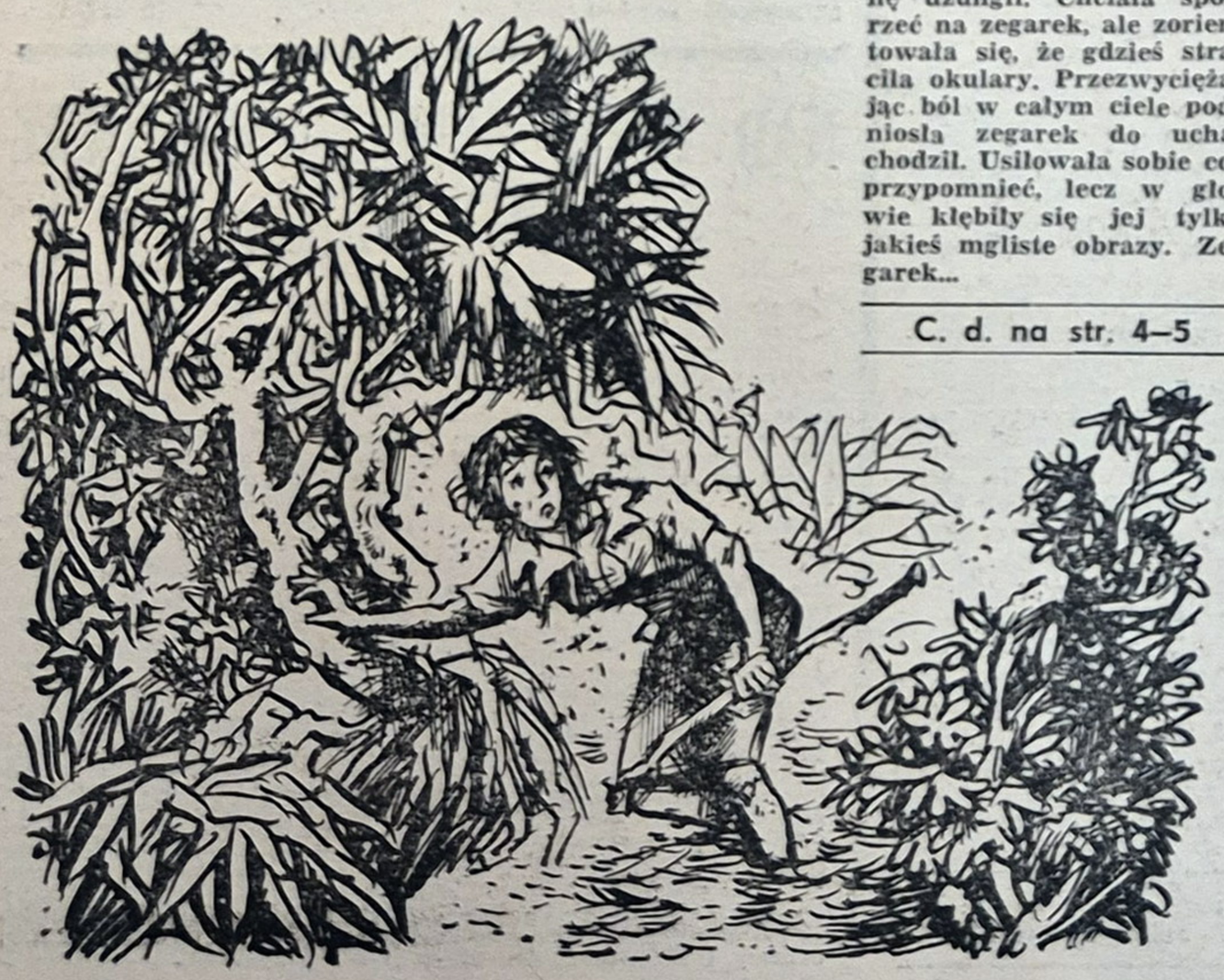

KIEDY JULIANNA otworzyła oczy, wydawało się jej, że jest noc. Była przypasana do swego fotela lotniczego, ale przecież nie znajdowała się w samolocie. Otaczały ją ciemne pnie drzew, wielkie jak kolumny. Kiedy podniosła wzrok, zauważyła jakieś jasne plamy. Zrozumiała — to słońce prześwieca przez zbitą gęstwinę dżungli. Chciała spojrzeć na zegarek, ale zorientowała się, że gdzieś straciła okulary. Przezwyciężając ból w całym ciele podniosła zegarek do ucha: chodził. Usiłowała sobie coś przypomnieć, lecz w głowie kłębiły się jej tylko jakieś mgliste obrazy. Zegarek...

C. d. na str. 4–5

MINI-KORESPONDENCJA Z ZSRR

KRABY MAJĄ GŁOS

Radzieccy naukowcy po raz pierwszy zarejestrowali „głosy" krabów zamieszkujących Ocean Spokojny i przybrzeżne wody Kamczatki. Na podstawie ich dźwięków i szelestów można poszukiwać skupisk tych cennych mieszkańców morza, wyznaczać drogę ich wędrówek, a nawet gatunek i wielkość. (b)

KLUCZ Z... BUDZIKIEM

FABRYKA zegarów w Rostowie nad Donem specjalizuje się w produkcji budzików. Tegoroczne plany przewidują wyprodukowanie aż 3 milionów budzików różnych typów, z tego 1,1 miliona na eksport do 59 krajów świata, m. in. Anglii, Francji, NRF, Szwecji... Oto jeden z nowych wzorów budzika — pamiątkowy „Klucz do miasta Rostowa". (b)

Foto: CAF

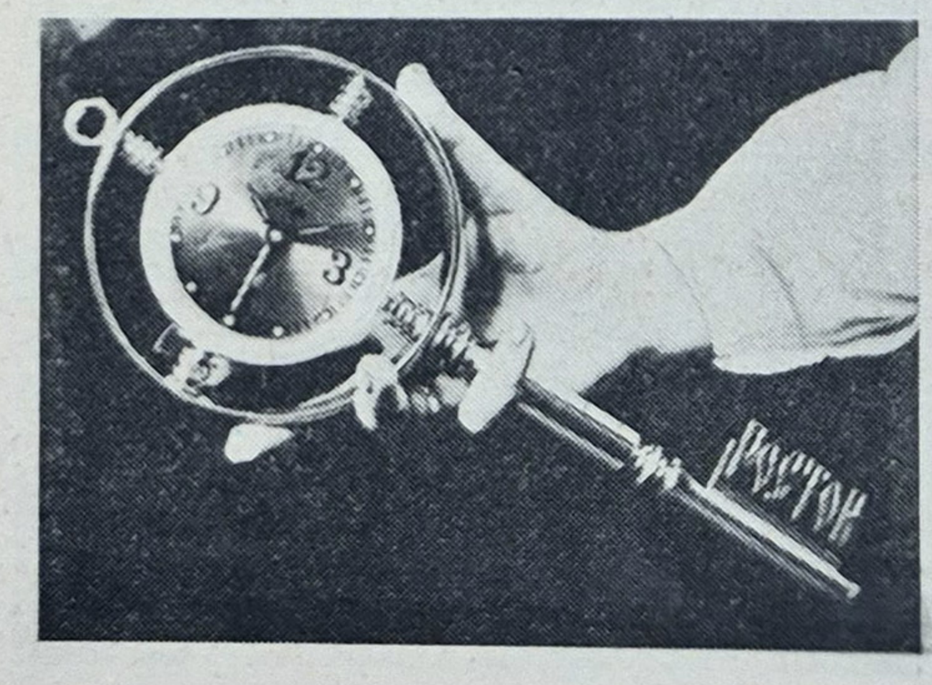

19 MARCA WYBORY DO SEJMU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

ZGODNIE z przysługującymi jej konstytucyjnymi uprawnieniami Rada Państwa PRL zarządziła wybory do Sejmu i wyznaczyła ich datę na niedzielę 19 marca 1972 r.

Sejm w Polsce wybierany jest na okres 4 lat. Taki okres kadencji Sejmu ustala nasza Konstytucja. Zbliżające się wybory odbędą się jednak wcześniej, w niecałe trzy lata od ostatnich. Jeszcze w grudniu ub. r. Sejm uchwalił ustawę konstytucyjną o skróceniu swej kadencji i wyznaczył termin jej upływu na dzień 15 lutego br.

Z propozycją przyspieszenia nowych wyborów do Sejmu wystąpiła Polska Zjednoczona Partia Robotnicza w uchwale swego VI Zjazdu. Wniosek ten spotkał się z poparciem Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, z poparciem wszystkich stronnictw, organizacji i ugrupowań społecznych reprezentowanych w Ogólnopolskim Komitecie Frontu Jedności Narodu.

Wybory bowiem — oprócz wyłonienia składu nowego Sejmu — są formą ogólnonarodowego plebiscytu w sprawie programu dalszego rozwoju kraju. VI Zjazd PZPR — w oparciu o doświadczenia 1971 r. i poprzedzającą go szeroką, ogólnospołeczną dyskusję — uchwalił taki nowy, śmiały program przyspieszenia rozwoju Polski. Z myślą o poddaniu go pod ogólnonarodowe głosowanie został więc przyspieszony termin wyborów do Sejmu. „Głosowanie powszechne w dniu 19 marca — powiedział na III Plenum Komitetu Centralnego PZPR członek Biura Politycznego i sekretarz KC, Edward Babiuch — będzie (...) ze strony całego społeczeństwa w pierwszym rzędzie aktem politycznej aprobaty celów i kierunków działania wytyczonych przez program VI Zjazdu."

Piotr Jaroszewicz na spotkaniu przedwyborczym z mieszkańcami prawobrzeżnej Warszawy.

TO JUŻ SIÓDME WYBORY W POLSCE LUDOWEJ

W POLSCE LUDOWEJ pierwsze wybory do Sejmu odbyły się 19 stycznia 1947 r. W wyborach tych naród nasz udzielając poparcia listom kandydatów na posłów wysuniętych przez Blok Stronnictw Demokratycznych poparł jednocześnie program dalszych przeobrażeń społecznych, w wyniku których Polska wkroczyła na socjalistyczną drogę rozwoju. Blok zdobył wówczas przytłaczającą większość mandatów poselskich. Sejm wybrany w tych wyborach nosił nazwę Sejmu Ustawodawczego, gdyż jego najważniejszym zadaniem było uchwalenie pierwszej Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Kolejne wybory do Sejmu odbyły się w latach: 1952, 1957, 1961, 1965 i w 1969 r. Zbliżające się obecnie — to już siódme z kolei wybory w Polsce Ludowej.

Na zdjęciu: oddawanie głosów w powiecie łowickim w czasie historycznych wyborów w 1947 r.

WYDANIE A. Cena 2 zł

Kurier Codzienny

Łącznie z mandatami z listy państwowej

BLOK UZYSKAŁ 392 POSŁÓW

PSL — 28; Stron. Pracy — 12; „Nowe Wyzwolenie" — 8

Układ sił politycznych W PRZYSZŁYM SEJMIE

1268 POJAZDÓW

Dziennik amerykański pisze:

Mikołajczyk zawsze się spóźniał

i kazano go to jeden szansę po drugiej

JAKIE ZADANIA MAJĄ KOMISJE WYBORCZE?

Wybory przeprowadzają komisje wyborcze — Państwowa Komisja Wyborcza, komisje okręgowe i obwodowe.

Każdy okręg jest podzielony na szereg obwodów swoim obszarem odpowiadających wsi, gromadzie, miasteczku, ulicy, osiedlu, dzielnicy. Obwody tworzy się z myślą, aby głosujący nie mieli zbyt dalekiej drogi od miejsca zamieszkania do lokalu wyborczego.

Obwodowe komisje wyborcze mają więc za zadanie przeprowadzenie głosowania w obwodach. Dopilnowują przygotowania lokali wyborczych, przejmują z prezydiów rad narodowych spisy wyborców swojego obwodu, a w samym dniu wyborów — zbierają do urn kartki wyborcze, zaznaczając w spisie każdego, kto oddał głos, aby nikt nie mógł głosować dwukrotnie. Po zakończeniu głosowania w obwodzie obliczają jego wyniki.

Okręgowe komisje wyborcze rejestrują listy kandydatów na posłów, przygotowują kartki do głosowania wg wzoru ustalonego przez Radę Państwa i obliczają wyniki wyborów w okręgu. Państwowa Komisja Wyborcza nadzoruje przebieg całych wyborów, ogłasza ich wyniki, a — po ich zakończeniu — składa Sejmowi sprawozdanie.

Kolumnę opracował:
JERZY MAJKA

JAK WYBIERANI SĄ POSŁOWIE?

Konstytucja ustala, że Sejm PRL składa się z 460 posłów. Trudno byłoby więc zorganizować wybory tak, aby wszyscy obywatele głosowali na wszystkich 460 posłów. Dlatego obszar państwa zostaje podzielony na okręgi wyborcze. W każdym z tych okręgów wyborcy wybierają kilku posłów. Ilość przypadających na okręg mandatów poselskich jest proporcjonalna do ilości mieszkańców w danym okręgu.

Posłowie wybierani w okręgach są reprezentantami poszczególnych regionów kraju. Muszą to być jednak ludzie widzący przede wszystkim interesy całego kraju, bo przecież Sejm nie zajmuje się szczegółowymi sprawami poszczególnych województw czy powiatów, lecz najważniejszymi zagadnieniami życia i rozwoju całego państwa. Muszą reprezentować taką wiedzę i doświadczenie, aby mogli patrzeć na sprawy kraju zarówno przez pryzmat codziennych trosk i kłopotów zwykłego obywatela, jak i wypowiadać się fachowo na temat specjalistycznych problemów, nad którymi pracują np. komisje sejmowe.

Posłem na Sejm może zostać każdy obywatel, który ukończył 21 lat. Prawo zgłaszania kandydatów na posłów przysługuje partiom politycznym oraz organizacjom zawodowym, spółdzielczym i społecznym. W trakcie obecnych wyborów — podobnie jak zresztą i poprzednich — partie i organizacje wspólnie uzgodniły listy kandydatów na posłów na posiedzeniach komitetów Frontu Jedności Narodu i zgłosiły je do komisji wyborczych jako listy FJN.

W każdym okręgu wyborczym ilość zgłoszonych kandydatów na posłów jest większa niż ilość przypadających na okręg mandatów. Kolejność ułożenia nazwisk na liście ustalana jest tak, że kandydaci wymienieni na pierwszych miejscach mają pierwszeństwo w otrzymaniu mandatów. Jeśli więc ktoś oddaje do urny wyborczej głos bez skreśleń, znaczy to, że głosował na kandydatów umieszczonych na pierwszych miejscach czyli na tzw. miejscach mandatowych.

Wybierać posłów na Sejm mają prawo wszyscy obywatele, którzy ukończyli 18 rok życia z wyjątkiem ludzi chorych umysłowo i przestępców pozbawionych praw publicznych i obywatelskich prawomocnym wyrokiem sądowym.

Wybrani na posłów zostają ci kandydaci, którzy w głosowaniu powszechnym uzyskali największą ilość głosów. Jeśli na jakiejś liście dwóch kandydatów otrzymało jednakową ilość głosów, decyduje kolejność umieszczenia na liście.

NAD CZYM BĘDZIE PRACOWAŁ NOWY SEJM?

SEJMOWI VI kadencji, który zostanie wybrany w dniu 19 marca, przyjdzie rozwijać swoją działalność w okresie bardzo ważnym dla przyszłości naszego kraju. Chcemy bowiem w tych latach zdynamizować rozwój Polski we wszystkich dziedzinach.

Nowy Sejm nada więc rangę państwowej ustawy uchwałom VI Zjazdu PZPR w sprawie społeczno-gospodarczego rozwoju kraju do roku 1975. Będzie on musiał jednocześnie podjąć szereg kwestii wymagających ustalenia dłuższych, wieloletnich programów działania. Do takich należy np. kwestia mieszkaniowa. Aby zlikwidować obecne trudności i niedobory mieszkaniowe, potrzeba nam — jak się obecnie szacuje — 15 lat ogromnego wysiłku zmierzającego do kilkakrotnego przyśpieszenia tempa budownictwa.

Drugi przykładowy problem — to unowocześnienie systemu oświaty i kształcenia młodzieży. Nad sprawą tą od blisko roku pracuje specjalny Komitet Ekspertów.

Sejm nada tym pracom i projektom kształt planu państwowego, kształt obowiązującej ustawy. Równocześnie, aby stworzyć lepsze warunki dla realizacji tych zamierzeń, musi on podjąć różne decyzje — udoskonalające funkcjonowanie naszego systemu państwowego, otwierające zielone światło dla ludzi z inicjatywą z głęboką wiedzą i doświadczeniem, decyzje przyczyniające się do zwalczania marnotrawstwa sił ludzkich i środków, do likwidowania złej organizacji pracy. Z myślą o tym przygotowywana jest np. karta praw i obowiązków dyrektorów zakładów i zjednoczeń oraz kierowników resortów.

Ukoronowaniem prac nowego Sejmu w tej dziedzinie będzie przygotowanie projektu nowej Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i poddanie go pod ogólnonarodową dyskusję.

MÓJ LOT nad DĘBLINEM

BRZUCHATE CHMURY wiszą niemal nad samą płytą lotniska. Pasy startowe nikną w szarości wilgotnego, zimowego dnia. A jednak i dziś odbywają się loty. Są to tak zwane „loty w trudnych warunkach", gdzie pilot kieruje się wskazaniami przyrządów pokładowych i poleceniami otrzymywanymi drogą radiową z ziemi.

Siedzę w kabinie „Iskry". Przede mną — na ciemnym pulpicie — trzy rzędy przyrządów pokładowych. Cyfry, podziałki i wskazówki zegarów pokryte są fosforyzującą farbą. W punkcie centralnym — sztuczny horyzont, czyli obracająca się kula, której dolna połowa jaśnieje błękitem — to nieboskłon, a górna brązem ziemi.

Starszy instruktor Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej — major Tadeusz Gałęski, przewieszony niemal przez burtę kadłuba, udziela mi ostatnich niezbędnych wyjaśnień:

— Z lewej, tuż pod ręką, ma pani trymer do chowania i wypuszczania klap. O, właśnie, ta czarna dźwigienka... Trzeba ją lekko wcisnąć i dopiero wtedy będzie posłuszna woli pilota. Nieco bliżej pulpitu dźwignia obrotów silnika. Przesunięcie rączki do przodu — obrotów dodaje, do tyłu — ujmuje. Ten czerwony uchwyt z prawej strony, podobny do uchwytu spadochronu, to urządzenie do awaryjnego wypuszczania podwozia.

A teraz zegary: radiowysokościomierz, działający na zasadzie odbijania fali, pokazuje rzeczywistą wysokość, na jakiej znajduje się samolot w danej chwili. Obrotomierz wskazuje obroty turbiny silnika. Tu, z prawej są wskaźniki — temperatury gazów i pracy silnika. Trzy wskazówki informują o ciśnieniu paliwa, oleju i smarów. Dalej widzi pani paliwomierz. Kiedy zostanie w zbiorniku 300 litrów, zapali się przy zegarze czerwone, ostrzegawcze światełko.

Wytężam uwagę. Całą siłą woli wbijam w pamięć każde pouczenie, każdą instrukcję. Bywają w życiu momenty, kiedy nasz umysł stać na wyjątkowo wielki wysiłek. Właśnie dziś przeżywam ten moment. Czekałam na niego większą część swego życia...

*

Miałam nie więcej niż dziewięć lat (trwała wówczas wojna) kiedy przeczytałam książkę „Szkoła Orląt" Janusza Meissnera. Kiedy moje rówieśniczki zachwycały się fotosami sławnych aktorów, chowałam w notesie pod poduszką wycięte z przedwojennego czasopisma zdjęcia Żwirki i Wigury.

Pewnego dnia na przedmieściu Wilna byłam świadkiem powietrznej bitwy. W słoneczny czerwcowy ranek, wysoko na bezchmurnym niebie krążyły trzy stalowe ptaki. Z ziemi wyglądało to jak zaklęty taniec. Żadna z maszyn nie mogła się wyrwać z tego kręgu i tylko białe dymki rozrywanych pocisków mówiły, że jest to taniec śmierci. Nagle jedna z nich runęła pionowo w dół, czarną smugą znacząc swą ostatnią drogę. Potem zobaczyłam błysk ognia, usłyszałam huk rozrywanych zbiorników z paliwem, a na niebie pozostały tylko dwa samoloty. Walka jednak trwała dalej. Po kilkunastu minutach zakończyła się zwycięstwem jednej z maszyn. Zwycięzca nosił na skrzydłach czarne hitlerowskie krzyże.

Kiedy hitlerowcy bombardowali moje miasto, przysięgałam zemstę. Oczami wyobraźni widziałam siebie za sterem samolotu. Pragnęłam wówczas skończyć tylko jedną jedyną szkołę — właśnie „Dęblińską Szkołę Orląt".

*

I oto dziś jest mój wielki dzień. Cały ten dzień spędzam w Dęblinie. Zwiedziłam już wszystkie gabinety naukowe, a teraz siedzę na lotniczym fotelu wpatrzona w przyrządy pokładowe. Nie mogę doczekać się momentu, kiedy major Gałęski odejdzie bodaj na chwilę. Wreszcie odchodzi...

Błyskawicznie zamykam kabinę! Przesuwam dźwignię obrotów silnika do przodu. Zwalniam hamulce. I wiem — mówią mi to przyrządy — moja „Iskra" rusza z miejsca!

Prędkość dwieście, trzysta kilometrów na godzinę. Ściągam drążek sterowy na siebie. Sztuczny horyzont obraca się. Lecę w błękit tego horyzontu, chociaż, zamknięta stalowym poszyciem burt, nic poza przyrządami nie widzę.

Naciskam dźwigienkę z lewej. Chowam podwozie. Kompas wskazuje kurs 33 stopnie, a więc lecę na północ. Strzałka wysokościomierza już jest powyżej pięciu tysięcy metrów. Naciskam lewy pedał i drążek wciąż ściągnięty na siebie pochylam w lewo. Na pełnych obrotach, nabierając wysokości, robię tak zwany „zwrot bojowy". Skrętomierz wskazuje prawidłowość wykonania manewru.

— Tu ziemia! „Dwudziesty Trzeci", wytracasz prędkość! Wpadniesz w korkociąg! — w słuchawkach głos kierownika lotów. „Dwudziesty Trzeci" to mój kryptonim na lot dzisiejszy.

Wyprowadzam „Iskrę" na prostą. Ściągam z uszu słuchawki. Nie jestem w stanie jednocześnie obserwować sztucznego horyzontu, paliwomierza, prędkościomierza, obrotomierza, skrętomierza oraz innych przyrządów; słuchać poleceń, wykonywać manewrów i meldować o nich Ziemi...

A Ziemia leży kilka tysięcy metrów niżej. Nie ma mowy, żebym nie widząc jej przez chmury, odnalazła właściwy punkt — lotnisko „Szkoły Orląt".

Tymczasem w kabinie zmienia się oświetlenie. Czerwona lampka ostrzega, że kończy się paliwo. Zmniejszam obroty silnika. Oddaję drążek do przodu. Zmniejszam wysokość. Wypuszczam klapy hamujące prędkość lotu. Wysokość maleje błyskawicznie. Teraz z lewej, na pulpicie zapala się lampka z napisem „wypuść podwozie". Ale nie pamiętam, co mam nacisnąć, żeby je wypuścić! Wypuszczam więc drążek sterowy z ręki. Wkładam na uszy słuchawki. W ułamku sekundy widzę obracającą się gwałtownie kulę sztucznego horyzontu. Błękit nieba chowa się, a przede mną wyskakuje brunatna półkula ziemi. Jednocześnie słyszę w słuchawkach głos kierownika lotów:

— Już się zabiła...

*

Otwiera się owiewka kabiny. Z obydwu stron na raz pojawiają się twarze instruktorów.

— Wylądowała pani 100 metrów... poniżej poziomu Dęblina! Ale za to na samym środku lotniska.

To nie żart. Wszystko odbyło się dokładnie tak jak opisałam. Swój jedyny, samodzielny lot odbyłam w dniu szesnastego lutego 1972 roku w Wyższej Oficerskiej Szkole Lotniczej w Dęblinie. Przez kilkanaście minut sterowałam samolotem odrzutowym „TS-11", osiągając wysokość około sześciu tysięcy metrów, dokonywałam zwrotów bojowych, kręciłam spirale, nurkowałam, chociaż moja maszyna nie oderwała się ani na centymetr od ziemi.

Przez cały czas bowiem znajdowałam się w urządzeniu zwanym „symulatorem lotów". Urządzenie to imituje bardzo dokładnie kabinę odrzutowca. Znajdują się tu wszystkie przyrządy i wskaźniki konieczne do sterowania samolotem.

WIESŁAWA MROCZEK

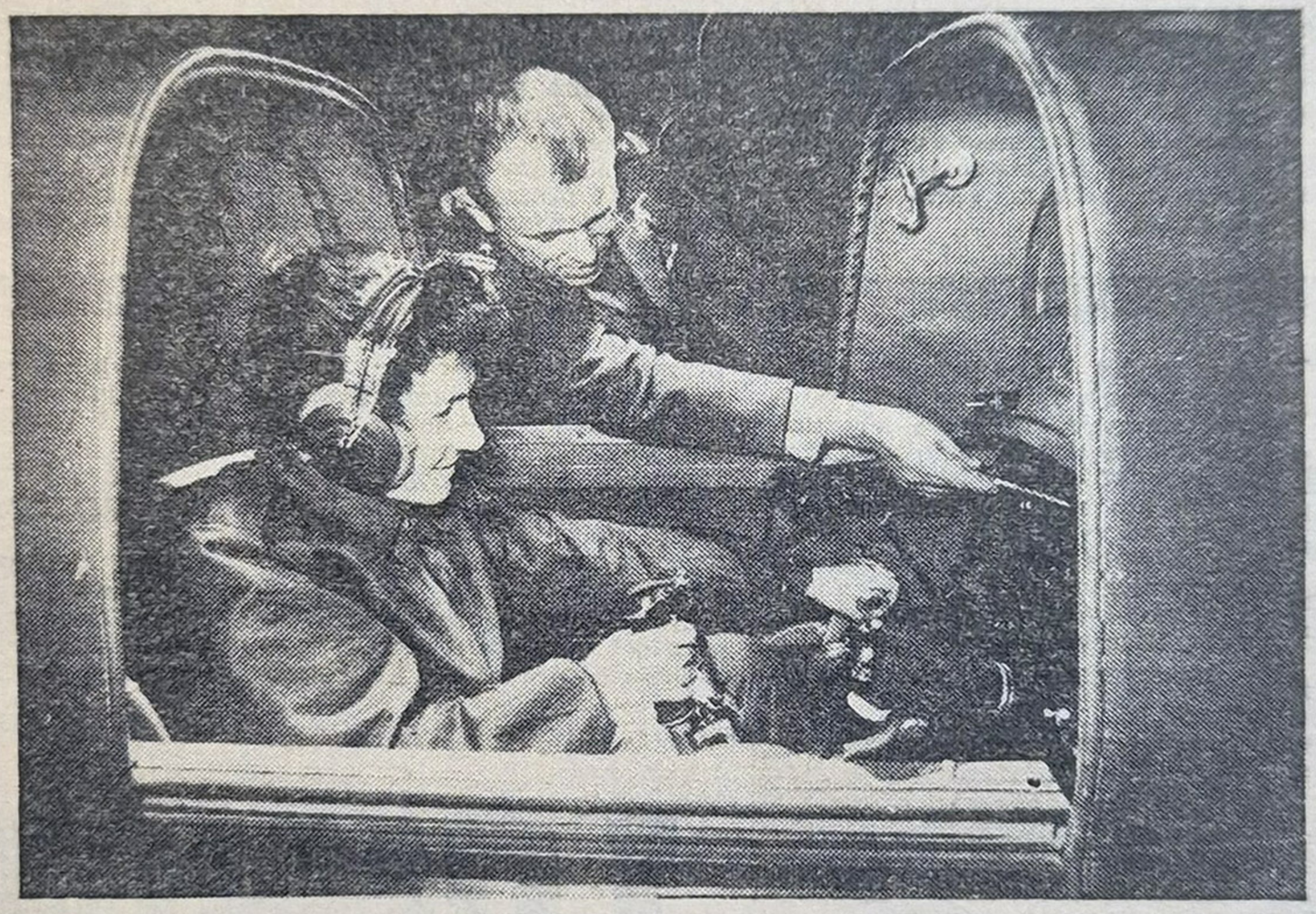

Starszy instruktor major Tadeusz Gałęski udziela szczegółowych instrukcji jednodniowemu podchorążemu „Szkoły Orląt" — autorce reportażu. Oto kabina samolotu odrzutowego, którym leciała nad Dęblinem

Foto: K. Adamowski

SAMOCHODY „ŚWIATA MŁODYCH"

ELEKTRYCZNY LILIPUT

Oto skonstruowany przez Francuza — Jeana Bertin, prototyp elektrycznego mini-samochodu do poruszania się po mieście. Jest to trójkołowiec, ma 1,87 m długości i 1,32 m szerokości. Waży 450 kg i może przewieźć dwie osoby z szybkością do 50 km/h na odległość 60 km bez potrzeby ładowania akumulatorów. Konstruktor obiecuje, że odległość ta może być podwojona przy seryjnej produkcji samochodziku. Natomiast ładowanie akumulatorów odbywać się będzie na specjalnych parkingach.

NOWOŚĆ: RENAULT 5

Znana wytwórnia Renault produkuje nowy typ małego samochodu — Renault 5 L i Renault 5 TL. Oba przedstawiamy na zdjęciu. Dwudrzwiowe, trzecie drzwi — do bagażnika. Wariant pierwszy ma rozsuwany dach. Moc silnika Renault L — 34 KM, TL — 43 KM. Ten ostatni osiąga szybkość do 135 km/h.

Julianna Z ZIELONEGO PIEKŁA

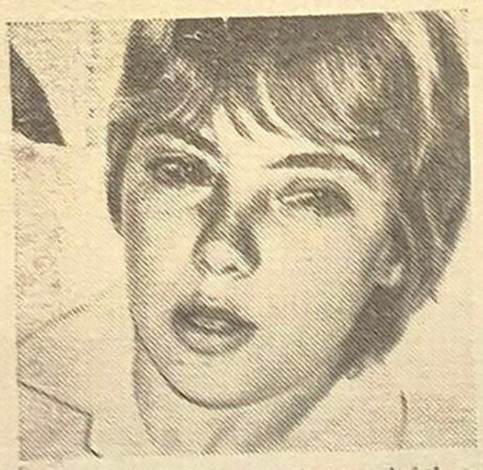

Oto bohaterka naszej opowieści — Julianna Köpcke. Zdjęcie wykonane w Pucallpa, po powrocie dziewczyny do cywilizowanego świata.

C. d. ze str. 1

Przysunęła go tuż do oczu i zobaczyła, że wskazuje godz. 16.10. Wtedy przyszło olśnienie. Tak! Kiedy poprzednim razem patrzyła na niego, wskazywał godz. 13.00. To było na kilka minut przed wybuchem w samolocie. A więc przeżyła katastrofę lotniczą, była przez trzy godziny nieprzytomna i znajduje się w dżungli. Sama? A gdzie matka? Krzyknęła kilka razy: „Mamo!" Ale dżungla, jak gąbka, pochłonęła jej głos i nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Po chwili Julianna odpięła pas i spróbowała wstać. Z niemałym zdumieniem stwierdziła, że dość pewnie trzyma się na nogach.

W wigilię Bożego Narodzenia 1971 roku z lotniska w Limie, stolicy Peru, wystartował wielki pasażerski czterosilnikowy turbośmigłowiec typu Lockheed Electra. Miał na swoim pokładzie 92 pasażerów. Właśnie tym samolotem udawała się do Pucallpa wraz ze swoją matką 17-letnia Julianna Köpcke. Tam mieszkali jej rodzice, z pochodzenia Niemcy. Pracowali oboje jako naukowcy-zoologowie. Na zasłużone święta do rodzinnego domu leciała Julianna po ukończeniu liceum w Limie.

Wybuch — jak błyskawica

DLA nabrania wysokości odpowiedniej do przeskoczenia pasma Andów „Electra" wykonała kilka spiralnych kręgów nad morzem, po czym wzięła kurs na północny wschód. O godz. 12.09 samolot zameldował kontrolnej radiostacji w Oyon, że na pokładzie wszystko w porządku. Zaraz potem, już nad dżunglą, wpadli w burzę.

Błyskawice coraz częściej przecinały chmury, grzmot słychać było poprzez ryk silników. Piloci obniżyli wysokość do 2000 metrów i zwolnili szybkość do 300 km/godz. Obsługa samolotu sprawdzała, czy wszyscy mają zapięte pasy. I wtedy nastąpił szczególnie jaskrawy błysk i rozległ się tępy huk: wybuch! Samolot zapalił się i eksplodował. Pasażerka z 19 rzędu — Julianna Köpcke — zajmująca prawe miejsce pod oknem, przypasana do swego fotela, została wyrzucona w powietrze i straciła przytomność.

Sam na sam z dżunglą

KIEDY JULIANNA stwierdziła, że dość pewnie trzyma się na nogach, zaczęła znów wołać: „Mamo, to ja — Julianna!" Zrobiła kilka kroków i ujrzała dwa nieruchome ciała. To byli pasażerowie „Electry". Nie dawali żadnych oznak życia. Wokół, chyba na dość znacznym obszarze, widać było szczątki samolotu. Dziewczyna znów woła matkę, nie odchodzi jednak daleko od swego fotela. Jest jeszcze ciągle pod wpływem szoku, ale zdaje sobie sprawę, że nikt jej nie pomoże, że zdana jest wyłącznie na własne siły, bo z katastrofy nie ocalała ani matka, ani nikt inny z pasażerów. W dżungli zapada zmrok. Zmęczenie jest silniejsze niż strach i samotność; Julianna wraca do fotela i zasypia w nim.

Rano budzi ją deszcz. Jest przemoknięta do ostatniej nitki. Czeka kilka godzin, aż pojawi się słońce. Czuje się lepiej, chociaż stwierdza, iż ma prawdopodobnie złamany obojczyk, podpuchnięte prawe oko i dość głęboką, krwawiącą ranę na nodze. Ale to nie załamuje jej, postanawia ratować życie za wszelką cenę.

Czy uda się znaleźć rzekę?

JULIANNA — wychowana wśród peruwiańskich lasów — wiedziała, że jeśli dotrze do rzeki, ma szansę ocalenia. Przed wyruszeniem w drogę jeszcze raz uważnie ogląda najbliższe szczątki samolotu. Znajduje torebkę cukierków, jakimi stewardessy częstują pasażerów przy starcie i lądowaniu. Za chwilę — butelkę wody mineralnej z wygodnym zamknięciem. W innym miejscu odkrywa spory kawałek świątecznego ciasta. Zjada kilka cukierków, ale bez apetytu. Przełyka kawałek ciasta. Resztę zostawia, bo ręce musi mieć wolne, potrzebne będą do rozchylania bujnej zieleni i lian, do pomocy w przechodzeniu przez zwalone pnie.

Dziewczyna przekonuje się, że znajomość dżungli przydaje się w potrzebie. Już w połowie dnia dociera do niewielkiego strumienia. Wchodzi po kostki do wody i idzie zgodnie z kierunkiem nurtu. Przed wieczorem dochodzi do miejsca, w którym strumień wpada do rzeki. Postanawia maszerować nią aż do zmierzchu. Woda sięga jej do kolan. Odgania od siebie myśl, że w rzece mogą być żarłoczne piranie...

Pułapki zielonego piekła

JUŻ prawie o zmroku znajduje kawałek piaszczystego brzegu. Tu układa się na nocleg. Ale roje moskitów i innych owadów nie pozwalają jej zmrużyć oka do północy. Ich ukąszenia pieką bardziej niż pokrzywy.

Dziewczyna wie, że musi trzymać się rzeki, bo tylko w ten sposób dotrze do Ukajali, nad której brzegiem — w Pucallpa — czeka ojciec. Nazajutrz rano wypija nieco mętnej wody i rusza w drogę. Chwilami liany tak pokrywają rzekę, że nie może iść jej korytem. Wychodzi wtedy na brzeg, ale musi długim kijem przetrząsać przed sobą zarośla, by wypłoszyć ewentualne żmije i jadowite pająki. To bardzo utrudnia marsz.

Brnąc w mulistej wodzie gubi sandały. Ale nie przejmuje się tym. Skórzane obuwie pleśnieje

Z CIĄGŁÓWEK DO SAPPORO

C. d. ze str. 1,

Zanudzał więc rodziców, żeby kupili mu te narty, kiedy się tylko dało. A oni stale odpowiadali:

— Jesteś jeszcze za mały, poczekaj aż podrośniesz.

Wojtkowi wydawało się, że to nieprawda. Przecież ma już sześć lat.

W końcu marzenia się spełniły. Ojciec poszedł z nim do sklepu i kupili takie zwykłe, najtańsze, niebieskie. Te, które stoją teraz na honorowym miejscu.

...I PIERWSZE SKOKI

PO GODZINIE przyszła wreszcie matka. Wojtek chwycił deski i pobiegł na górkę. Była tu już cała ferajna z Ciągłówek. Chłopaki, ubijając łopatami świeży śnieg, budowali próg do skoków.

Wojtek często chodził ze swym starszym bratem Adrianem pod Krokiew, oglądać treningi dorosłych zawodników i konkursy skoków. W marzeniach czasem wydawało mu się, że to on szybuje w powietrzu. Nie przyznawał się do tego nikomu. Teraz, gdy zobaczył, że koledzy kończą pracę przy tej miniaturowej skoczni, serce zabiło mu mocniej. Nigdy jeszcze nie próbował skakać, uczy się dopiero zjeżdżać.

— Co, nie spróbujesz? A może się boisz? — zaczepił go prowokująco najstarszy z całej gromady, Józef Gabrysiak.

— Wcale się nie boję, będę skakał! — odburknął Wojtek. Chociaż tak naprawdę, to miał wielkiego pietra.

Pierwszy ruszył Stasiek Groniów. Ale zanim dojechał do progu, wyłożył się jak długi, wzbijając wokół siebie tuman śniegu. Koledzy wybuchnęli śmiechem. Kolejno wystartował Józek. Skoczył chyba ze dwa metry, ale też się wywrócił. Kiedy przyszła kolej na Wojtka, trochę przybladł z emocji, chwilę zawahał się i w końcu ruszył szusem w dół. Przed progiem stchórzył jednak, skręcił w bok i ominął skocznię. Sam nie wiedział, czy bardziej bał się upadku, czy drwin kolegów. Ale chłopaki i tak mu nie darowali. Najbardziej odgryzał się Józek, chcąc się odegrać za swoją niedawną wywrotkę. Wojtek odpiął narty i zawstydzony poszedł do domu. Miał dość wszystkiego...

Następnego dnia poszukał jednak odludnego miejsca i sam sobie zbudował maleńką skocznię. Teraz mógł już bez narażenia się na kpiny spróbować sił. Przez jakiś czas przychodził do domu poobijany, pełen siniaków, a bywało, że i ubranie odmotowywało ślady upadków. Ale z każdym dniem wywrotek było coraz mniej a wysokość progu rosła.

O KROK OD MARZEŃ...

MIJAŁY KOLEJNE ZIMY. Wojtek Fortuna chodził już do trzeciej klasy Szkoły Podstawowej Nr 5 na Chramcówkach. Po lekcjach w dalszym ciągu rywalizował z chłopakami. Skakali już teraz dalej i pewniej.

Pewnego dnia podszedł do nich jakiś pan. Powiedział coś tam na przywitanie, usiadł na pieńku ściętego świerku i zaczął przyglądać się skokom chłopaków. Coś tam notował w swoim zeszycie i wreszcie zaproponował:

— Ładnie skaczecie, ale mogliście to robić jeszcze lepiej! Który z was zapisze się do „Wisły-Gwardii"?

Chłopakom zaparło dech w piersiach. „Wisła-Gwardia"? — to przecież prawdziwy klub sportowy! W nim startują najlepsi zawodnicy nie tylko z Zakopanego, ale z całego Podhala.

— Pan mówi serio? — bąknął po chwili Józek.

— Słowo honoru! Jeżeli naprawdę chcecie skakać, przyjdźcie do klubu. Nazywam się Gąsiorowski, jestem trenerem, prowadzę szkółkę narciarską. No więc?... Czekam na was jutro o trzeciej.

Po odejściu pana Gąsiorowskiego nikomu już tego dnia nie chciało się skakać. Przegadując jeden drugiego dawali upust swojej fantazji. Każdy z nich marzył przecież o skokach z Dużej Krokwi. I teraz ich marzenia mają się spełnić. Aż trudno uwierzyć... Nie zaprzepaszczą takiej szansy.

Nazajutrz wszyscy zebrali się pod klubem. Wśród nich oczywiście i Wojtek Fortuna.

...I PIERWSZE ROZCZAROWANIE

PAN GĄSIOROWSKI nie poprowadził ich tego dnia ani na Dużą Krokiew, ani nawet na tę najmniejszą skocznię, zwaną Starą Krokwią. Zaczęła się natomiast ciężka praca. Trzeba było poznawać od początku arkana narciarskiej sztuki. Wiele godzin spędzali biegając po lesie. Nawet latem, kiedy nie było śniegu. Dla zwiększenia sprawności fizycznej. Zamiast spełnienia marzeń o skokach, trener serwował im ogólnorozwojowe ćwiczenia gimnastyczne. Potem zaczęły się ćwiczenia poszczególnych elementów skoków. Musieli posiąść umiejętność odbicia, lotu, lądowania. Część chłopców znudziła się tym.

Wojtek też zaczął opuszczać zajęcia w klubie.

— Dlaczego nie poszedłeś dziś na trening? — zapytał któregoś dnia ojciec.

— Dziś jest jakieś tam szkolenie teoretyczne — zaczął tłumaczyć się Wojtek. — Nie chce mi się! To nudne...

— Aaaa... Nie chce ci się? Już jesteś mądrzejszy od trenera! Ty tak od razu, mistrzem byś chciał zostać... Bez pracy! Bez wysiłku! Zajęcia nudne dla ciebie...

I pan Mieczysław Fortuna, żeby te argumenty były bardziej skuteczne, sprawił Wojtkowi na dokładkę lanie. Poskutkowało.

Wojtek przeprosił trenera, wrócił do szkółki i od tego czasu nie opuszczał już żadnych zajęć. Skrupulatnie stosował się do uwag pana Gąsiorowskiego, do jego poleceń i coraz bardziej zadziwiał swoich opiekunów odwagą i pasją walki.

C.D.N.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Wojtek ze swym starszym o rok bratem Adrianem. Wtedy nie myślał jeszcze o światowych sukcesach, na razie marzył o nartach...

IEGO PIEKŁA

Ilustr. M. Kościelniak

w tych warunkach błyskawicznie i boleśnie ociera nogi.

Zaczynają się halucynacje

JUŻ TRZECIEGO DNIA przedzierania się przez dżunglę Julianna straciła rachubę czasu. W ciągu tego dnia parokrotnie słyszała nad sobą warkot silników samolotowych. Nie wiedziała, czy to rzeczywistość, czy halucynacje. Być może — trwają poszukiwania, ale przecież w tej gęstwinie nikt jej nie dojrzy.

W pewnym momencie usłyszała pianie koguta. Potem jeszcze raz, i znowu. I to właśnie były już halucynacje. Wieczorem wydawało jej się, że fruwające świetliki są płomykami świec. Wilgoć bardzo daje jej się we znaki, ale jeszcze bardziej dokuczają owady. Gryzą dotkliwie, a niektóre składają jajka pod skórą na rękach i nogach dziewczyny. Wylęgają się z nich larwy; jest to bolesne i odrażające zarazem. Julianna zacisnąwszy zęby dokonuje bolesnej operacji: usuwa sobie larwy z ciała ostrą drzazgą. Nie na wiele to się zdaje, nazajutrz są nowe ukąszenia.

Niestrudzenie brnie dalej brzegiem rzeki. Czasem płynie. Od słońca odbijającego się w wodzie dostaje zapalenia spojówek.

Uratował ją... deszcz

JULIANNA wie, że te okolice są bardzo słabo zaludnione, że przypada tu statystycznie pół mieszkańca na kilometr kwadratowy. To nawet mniej niż na Saharze! Nie ma więc nadziei na spotkanie po drodze człowieka. Ale podświadomość każe jej iść naprzód. Dociera do dużej rzeki.

Dziewiątego dnia znajduje nagle nad brzegiem prosty szałas. Ludzie? Niestety, widać, że dawno nikt tu nie przebywał. Julianna czuje się bardzo źle. Nadchodzi burza, deszcz pada tak, że nie można iść dalej. Czy w tej samotnej chatynce przegra Julianna ostatecznie swą walkę z dżunglą?

Trzeba mieć wyjątkowe szczęście. O zmierzchu na progu chaty stają trzej Metysi: Beltran, Carlos i Nestor. Byli trochę myśliwymi, trochę drwalami. Mieli kilka takich szałasów w dżungli. Do tego zaglądali mniej więcej raz na trzy tygodnie. Tego dnia po prostu przygnał ich tu deszcz, gdy polowali w pobliżu.

Opatrzyli dziewczynie rany i oczyścili ją jak mogli z robactwa. Nazajutrz wyruszyli pirogą do Tournavista. Stąd można było porozumieć się przez radio z Pucallpa, tu była pomoc lekarska. Jeszcze jedna noc w dżungli, ale już na prawdziwym łóżku. Rano niewielkim samolotem Julianna zostaje przetransportowana do Pucallpa, do ojca, który uważał ją już za nieżyjącą.

Siedemnastoletnia Julianna Köpcke umiała pokonać dżunglę, ale oprócz tego miała również wiele, wiele szczęścia.

Oprac. JAN STYKOWSKI

Otwieramy BIURO POŚREDNICTWA „ŚWIATA MŁODYCH"

Aby ułatwić naszym czytelnikom zapoznanie się z tymi szkołami, otwieramy na łamach „Świata Młodych" **Biuro Pośrednictwa.** Dziś — jako pierwszą — przedstawiamy:

ZASADNICZĄ SZKOŁĘ PRZEMYSŁU SZKLARSKIEGO w Piotrkowie Trybunalskim

Kształci ona kwalifikowanych robotników dla hut szkła i fabryk wyrobów szklanych. Absolwenci tej szkoły mają zagwarantowane zatrudnienie w zakładach przemysłu szklarskiego na terenie całego kraju. Z tymi, którzy zechcą zostać w Piotrkowie Trybunalskim, huta „Hortensja" w połowie ostatniego roku nauki podpisuje umowy o pracę. Praca w przemyśle szklarskim jest ciężka, ale absolwenci szkoły — po odbyciu stażu trwającego od 3 do 6 miesięcy — mogą zarobić od 2 do 3 tys. zł miesięcznie.

Do szkoły przyjmowani są **wyłącznie chłopcy, posiadający dobre zdrowie,** po ukończeniu VIII klasy szkoły podstawowej. **Egzaminów wstępnych nie ma.**

Nauka w szkole trwa trzy lata. **Miejsca w internacie i stypendia zapewnione.** Pełne stypendium wynosi 519 zł miesięcznie. Stypendia w pełnym wymiarze otrzymują uczniowie osiągający dobre wyniki w nauce i b. dobry stopień ze sprawowania.

Adres tej szkoły: **Piotrków Trybunalski, ul. Roosevelta 1, woj. łódzkie. (jm)**

Wśród zasadniczych szkół zawodowych, prowadzonych przez zakłady pracy, są szkoły mało znane i w związku z tym nie posiadające zbyt wielu kandydatów do pierwszych klas.

Mają one internaty i mogą przyjmować uczniów z całego kraju.

Niedobory kandydatów zdarzają się również w szkołach kształcących kwalifikowanych robotników dla górnictwa, budownictwa i niektórych dużych gałęzi przemysłu. Także te szkoły — nie mając dostatecznej liczby kandydatów spośród młodzieży miejscowej — mogą przyjmować do klas pierwszych kandydatów z innych regionów kraju.

Człowiek z jaskini ARAGO

Na południu Francji odkryto w jaskini szczątki kostne istoty cz'owiekowatej sprzed 200000 lat. Jest to wielka sensacja dla paleontologów, archeologów i antropologów. Istota ta jest bowiem ogniwem pośrednim pomiędzy pitekantropem (żyjącym ok. 500000 lat temu) i neandertalczykiem (żyjącym ok. 80000 lat temu).

W 1962 roku interesujący się archeologią amatorzy francuscy zawiadomili profesora Henry de Lumley, wykładowcę archeologii w Marsylii, o narzędziach użytkowych i szczątkach kostnych znalezionych przez nich w jaskini Arago w górach des Corbieres, stanowiących część łańcucha Pirenejów Wschodnich.

W ubiegłym stuleciu jaskinia Arago służyła jako schronisko dla pasterzy owiec i kóz. Dostosowali oni ją do swoich potrzeb wyrównując powierzchnię ziemi w jaskini. W ten sposób pasterze zniszczyli wiele warstw i obecnie badacze zmuszeni byli do przesiewania każdej odrobiny ziemi. Dopiero w roku 1967 dokopano się do warstw zawierających szczątki prehistorycznych mieszkańców jaskini. Okazało się, że jest to teren niezwykle bogaty w kości zwierzęce i prymitywne wyroby ludzkie. Znaleziono też pojedyńcze zęby kobiety i mężczyzny i wreszcie czaszkę 20-letniego młodzieńca. Na podstawie badań formacji geologicznych i kości żyjących wówczas zwierząt ustalono, iż czaszka pochodzi z okresu pomiędzy dwoma ostatnimi okresami lodowcowymi, czyli sprzed około 200 tys. lat. Dzień znalezienia czaszki — 22 lipca 1971 r. — stał się punktem zwrotnym w naszych pojęciach o początkach istnienia rodzaju ludzkiego w Europie.

Jak wyglądał najstarszy mieszkaniec Europy? Przypuszczalnie był niskiego wzrostu, chodził pionowo, używał rąk do pracy nie podpierając się nimi. Jego mózg był mniejszy od mózgu nie tylko współczesnego człowieka, lecz nawet od mózgu neandertalczyka. Narzędzia wyrabiał z krzemienia lub kwarcu. Spał we wgłębieniu wydrążonym w zboczu wydmy i umocnionym kamieniami. Znał ogień, polował na wilki, pantery, niedźwiedzie, dziki, słonie, lwy i inne zwierzęta, które zamieszkiwały wówczas lasy i brzegi rzek południowej Europy. Prawdopodobnie ubierał się w skóry zwierzęce.

Życie istot z Arago nie było łatwe. Klimat owego okresu (przedostatniego zlodowacenia) był zimny i suchy, co potwierdzają badania nad ówczesna florą i fauną.

Odkrycie czaszki istoty człowiekowatej sprzed 200 tys. lat wypełniło lukę pomiędzy pitekantropem a neandertalczykiem — przodkiem człowieka rozumnego.

(„Nauka i Życ" — b)

Ryszard Marek Groński

KROPLA DESZCZU NA DŁONI

Butenko pinxit

7)

Stary machnął ręką. Nie powiedział jednak ani słowa. Wróciliśmy do „Różyczki". Przed bramą stała Niemka, wyraźnie czymś zaaferowana. Po godzinie wiedział już cały pensjonat, że jej mąż gdzieś przepadł. Nie przyszedł na obiad, nie dał do tej pory znaku życia. Niemka podejrzewała wypadek. Portier z „Różyczki" zadzwonił na milicję. Tam wyjaśniono że nic nie wiedzą o żadnym wypadku. Powoli wszystkim udzielił się nastrój oczekiwania. Snuto różne domysły i przypuszczenia na temat, gdzie mógł się podziać Niemiec. Przeważał wśród gości „Różyczki" pogląd, iż po prostu zabawił się w jakimś wesołym towarzystwie. Tak czy inaczej — płynęły kwadranse, a jego wciąż nie było. Zapytałem starego:

— Co sądzisz o tym zniknięciu?

— Bo ja wiem... Rzecz jasna, nie należy przesadzać.

Z drugiej jednak strony to trochę dziwne, że facet każe na siebie czekać tyle godzin. Nie wyglądał na duszę towarzystwa i szampańskiego balowicza.

— Wiesz o nim coś więcej?

— Ależ ty przeprowadzasz regularne śledztwo. Ta mina, ten ton...

— Nie odpowiedziałeś na pytanie.

— Nazywa się Wolfgang Becker. Handlowiec z Hamburga. Ma tam rodzaj domu towarowego. Nieźle nawet mu to idzie. Pan Wolfgang często przyjeżdża do Polski. Nigdy dotąd nie zjawiał się z rodziną. No i nie zahaczał o Zakopane. Najdalej wysuniętym na południe punktem jego podróży był Kraków.

— Widziałem dzisiaj tego Niemca. W „Janosiku".

Ojciec aż podskoczył.

— Teraz mi to mówisz? Kiedy to było?

— Krótko przed twoim przyjściem.

— Był sam?

— Z facetem. On go widocznie przywiózł, bo Niemiec był bez samochodu, a nie podejrzewam, aby drałował na piechotę, albo korzystał z autobusu.

— Poznałbyś tego faceta?

— On się tu kręci. Jest chyba znajomym właściciela „Różyczki"...

Zabawa w chowanego

Było już rano, a Niemiec dalej się nie znalazł. Jego żona zupełnie się rozkleiła. Miała oczy czerwone, jak królik, gdy wsiadała do milicyjnej „Warszawy". Po powrocie płakała już całkiem jawnie. Tylko dziewczynka zachowała spokój. Usiłowałem parę razy do niej zagadać. Udawała, że nie rozumie tego, co do niej mówię.

Śniadanie jeszcze trwało, kiedy zjawił się Felek. Stał w drzwiach jadalni i dawał mi znaki, żebym jadł szybciej.

Rozmawialiśmy w hallu.

—Możesz się urwać na cały dzień? — zapytał. — Powiedz staremu, że zabieram cię na wycieczkę w góry. Jest to wersja oficjalna. Tak naprawdę nie chodzi o żadną wycieczkę. — Brat zwichnął nogę i wysiadł z interesu.

— Rozumiem. Mam wskoczyć w futro niedźwiedzie, a ty będziesz pstrykał zdjęcia.

— Nie miej żalu, że się do ciebie zwracam. Chłopaki się porozjeżdżali. Jesteś moją ostatnią szansą.

— Przestań. Nie ma o czym...

— Więc zgadzasz się? Wiedziałem, że mi pomożesz. Aha, dostaniesz swoją dolę. Nie będziesz tyrał za frajer.

— Dobra, dobra. Stawiam jednak warunek — nie będziemy snuć się po Krupówkach. Staniemy koło „Janosika".

— Tam?

— Ruch większy niż w mieście. No i klientela ciekawsza.

— Kręcisz. Wal od razu, w czym rzecz...

Zrelacjonowałem Felkowi ostatnie wydarzenia.

— Pamiętam tego Niemca — zastanowił się. — Pokazałeś mi go przecież. Jeśli Siuda maczał palce w tej aferze — nic nie wskóramy. On pracuje koronkowo. Żadnych śladów, żadnych dowodów. Siuda to bystrzak. Łeb nie do noszenia kapelusza.

— Co nam szkodzi spróbować. Może jakimś cudem trafimy na jeszcze ciepły ślad. Zapominasz o facecie, który był z Niemcem. A nuż się nawinie. Z tym tylko, że przydałby się nam jakiś pojazd.

— Załatwione — rozpromienił się Felek. — Wezmę motor. Skoro brat zwichnął nogę — nie będzie mu potrzebny. Przyjadę po ciebie za dwadzieścia minut.

Stary nie protestował, kiedy powiedziałem mu, że wybieram się z Felkiem w góry i wrócę dopiero wieczorem, albo nawet następnego dnia, bo może się i tak złożyć, że przenocujemy w schronisku. Dał mi forsę i wymusił przyrzeczenie, że będę na siebie cholernie uważał.

Felek nadjechał SHL-ką. Skórę niedźwiedzia ulokował na tylnym siedzeniu. Dla mnie zostało niewiele miejsca, lecz udało mi się usadowić w miarę wygodnie. Jechaliśmy ostro, żeby zająć stanowisko koło „Janosika" możliwie najwcześniej. Wybraliśmy sobie dogodny punkt obserwacyjny: kilkanaście metrów od lokalu, pod drzewem. Miało to i tę zaletę, że dawało trochę cienia. Szczegół ważny, bowiem w skórze misia czułem się jak makaron zanurzony w gorącym rosole.

— Przywykniesz — pocieszał mnie Felek. — Początkowo też myślałem, że się ugotuję.

— Co masz mi jeszcze do powiedzenia, szefie?

— Bądź miły dla klientów...

Frekwencja dopisała. Obejmowałem łysych facetów, klękałem przed potwornymi babsztylami, huśtałem ich rozwrzeszczane dzieciary. A Felek nic tylko pstrykał i pstrykał.

Na obiad zjedliśmy kanapki z serem i kiełbasą. Popiliśmy to herbatą z termosu. Wyobrażacie sobie, jak wyglądałem, trzymając chleb w niedźwiedziej łapie... Felek miał rację: po kilku godzinach przywykłem do nowej sytuacji. Dopiero koło szóstej zaczęło się coś dziać. Przed „Janosikiem" zatrzymała się szara „Skoda 1000-MB". Wysiadł z niej ów bokser, rozmówca Niemca. Drugi mężczyzna, pasażer „Skody", został w wozie.

— Dosyć na dzisiaj — ściągnąłem niedźwiedzie przebranie. — Felek, trzymaj motor w pogotowiu.

— Chcesz jechać za nimi?

— To jedyna okazja, by ustalić, gdzie mieszkają. Ryzyko jest minimalne, by zwrócili na nas uwagę.

Położyliśmy się w rowie. Gryząc trawki, czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Po godzinie — bokser wrócił do samochodu. „Skoda" ruszyła.

— Jedziemy — ponaglałem Felka.

Wskoczyliśmy na siodełko. Posuwając się za „Skodą" utrzymywaliśmy bezpieczną odległość. Czułem na twarzy pęd powietrza, słyszałem chrzęst pryskających spod kół kamyków.

C.D.N.

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPOŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEZOWA I SPORTOWA". RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039. Zam. 814 A-65

ToMiK

Po ostatniej serii „planetarnej" ToMiKa, w której (dla przypomnienia) przedstawiliśmy Marsa i Jowisza, otrzymałem sporo listów z prośbą aby napisać również o Saturnie. Prośbę spełniam, lecz tylko w części, bowiem zajmiemy się dzisiaj tylko pierścieniami otaczającymi tę planetę. Wydaje mi się ten temat znacznie ciekawszy, tym bardziej, że planeta w „kapeluszu" jest niepowtarzalnym zjawiskiem w naszym układzie planetarnym. Sam Saturn niewiele zresztą różni się od Jowisza.

W jednym z najbliższych wydań ToMiKa zajmiemy się teorią heliocentryczną Kopernika, która obaliła starą lecz niezwykle silnie zakorzenioną teorię geocentryczną Ptolemeusza.

Przypominam również, że przy ToMiKu istnieje „Kącik korespondentów". Można więc zgłaszać się do niego podając jednocześnie dziedziny, którymi interesujecie się szczególnie.

Prezes ToMiKa
St. BOROWIECKI

PLANETA W „KAPELUSZU"

TAK MOŻNA BY NAZWAĆ jedyną w swoim rodzaju planetę — Saturna. Rzeczywiście, jego piękne pierścienie przypominają na pierwszy rzut oka rondo kapelusza. Ale czy tylko Saturn jest tak uprzywilejowany, że ma własny „dach nad głową"? Czy też istnieją inne planety podobne do niego? Niestety, nie. Żadna z planet układu słonecznego nie posiada pierścieni.

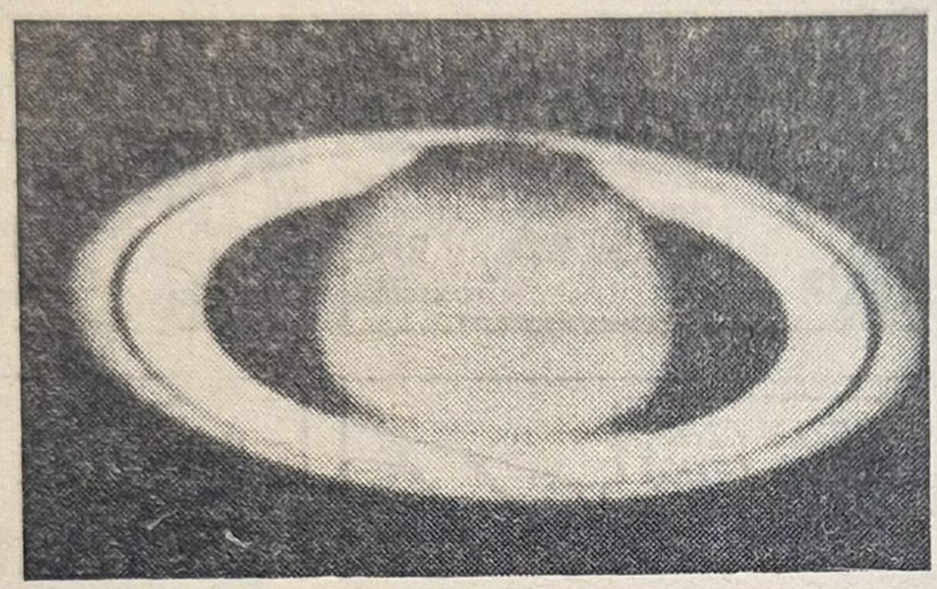

Bardzo szerokie i bardzo cienkie

SATURN posiada trzy główne pierścienie. Leżą one w jednej płaszczyźnie, i to dokładnie w płaszczyźnie równika planety, tak jakby przecinały glob na dwie połowy. Pierwszy, zewnętrzny, ma szerokość 16 tys. km i oddziela go od następnego, środkowego, o szerokości 26 tys. km — pusta ciemna przestrzeń, tzw. szczelina Cassini'ego, od nazwiska francuskiego uczonego, który pierwszy ją spostrzegł. Szczelina ta ma szerokość około 5000 km. Ostatni pierścień (o szerokości 18 tys. km) od strony planety świeci najsłabiej, tak, że można przez niego oglądać powierzchnię Saturna.

Ogólna szerokość wszystkich trzech pierścieni jest tak wielka, że nasza Ziemia mogłaby swobodnie toczyć się po nich jak beczka. Mimo tak dużej ich szerokości, grubość pierścieni jest niezwykle mała, bo zaledwie 15—20 km. Gdybyśmy chcieli zbudować ich model, należałoby wyciąć z bardzo cienkiego papieru pierścień o zewnętrznej średnicy wynoszącej 30 cm. Otrzymalibyśmy wówczas właściwe proporcje między szerokością a grubością pierścieni.

Zaszyfrowana wiadomość Galileusza

NAJWIĘKSZYM szczęśliwcem wśród astronomów okazał się Galileusz. A to chyba dlatego, że po raz pierwszy w historii do obserwacji nieba zastosował lunetę, zresztą własnej konstrukcji. Ile razy skierował swój czarodziejski instrument na jakieś ciało niebieskie, prawie zawsze odkrywał coś niezwykłego. Tak też było i z pierścieniami Saturna. Otóż, gdy pewnego wieczoru 1610 roku skierował obiektyw lunety na Saturna, spostrzegł jakieś „dodatki" wystające z boków planety. Nasunęło to uczonemu myśl, że odkrył dwie mniejsze planety towarzyszące Saturnowi. Swoje odkrycie ogłosił Galileusz szyfrem (taki był wówczas zwyczaj), którego treść — naturalnie po rozszyfrowaniu — brzmiała:

„Najwyższą planetę potrójną obserwowałem"

Jednak Galileusz mylił się. „Dodatki", które zobaczył z boków Saturna, nie były planetami — jak sądził — ale pierścieniami. Pomyłka wynikała z niedoskonałości lunety, która nie dawała ostrego obrazu, a powiększała zaledwie 30 razy.

Co 15 lat pierścień znika

W 1921 ROKU niektóre gazety prowincjonalne wydrukowały sensacyjną wiadomość, że „zginął pierścień Saturna". Niektórzy nadgorliwi dziennikarze dodawali jeszcze, że „pierścień uległ zniszczeniu, a jego odłamki lecą w kierunku Ziemi grożąc zderzeniem". Oczywiście wszystkie tego rodzaju wiadomości nie miały nic wspólnego z rzeczywistością, świadczyły o zupełnej nieznajomości sprawy.

Otóż Saturn co pewien czas w swoim ruchu wokół Słońca tak się ustawia, że jego cienki pierścień odwraca się do Ziemi „kantem". Wtedy przestaje być widoczny nawet przez najsilniejsze teleskopy. Na kilka dni przed „zniknięciem" widoczny jest jako cieniutka jasna igła, jakby przeszywająca kulę Saturna.

Tam, gdzie powinien być pierścień, widać na tle planety ciemną wstęgę. Ten ciemny pas jest cieniem Saturna rzucanym przez pierścień na powierzchnię. „Znikanie" pierścieni następuje co 15 lat, gdyż co taki okres czasu następuje ustawienie się ich do Ziemi cienkim brzegiem. Wynika to z okresu obiegu Saturna wokół Słońca, wynoszącego prawie 30 lat. Właśnie co pół roku saturniańskiego pierścienie „znikają".

Jak powstały i czym są pierścienie?

SKĄD SIĘ WZIĘŁY pierścienie wokół Saturna? Dlaczego tylko tę planetę opasuje piękne świetlne rondo? Na ogół wśród astronomów panuje przekonanie, że pierścienie powstały w wyniku katastrofy jednego z księżyców Saturna, który zbliżył się do planety na niedozwoloną odległość i został rozerwany przez potężne siły grawitacyjne. Mogło też być inaczej: pierścienie są tworzywem, z którego nie mógł się uformować księżyc, gdyż „budulec" znajdował się zbyt blisko planety.

Obydwie te możliwości są w zgodzie z teorią francuskiego uczonego Roche, który już w 1850 roku udowodnił istnienie tzw. „granicy krytycznej" planety, nazywanej dzisiaj „granicą Rocha". Dla satelity (księżyca) o takiej samej gęstości co gęstość macierzystej planety ta krytyczna granica wynosi 2,44 promienia planety. Otóż, jeżeli jakikolwiek księżyc przekroczy tę granicę, musi ulec rozerwaniu na części. Właśnie pierścienie Saturna znajdują się całkowicie wewnątrz „granicy Rocha".

Czym są pierścienie? Drobnymi, okruchami stałej materii krążącymi wokół Saturna jako rój małych „sputników".

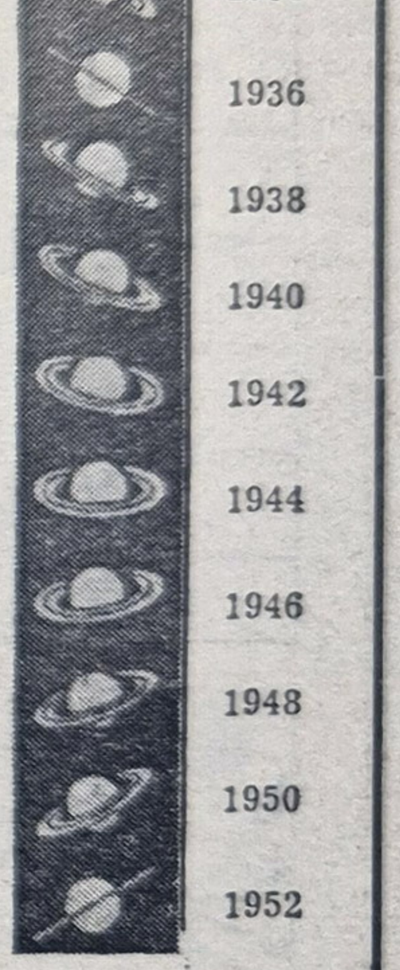

Oto jak zmienia się położenie Saturna w swoim ruchu dookoła Słońca. Z rysunku widać, że w latach 1936 i 1952 pierścienie były niewidoczne z Ziemi.

Tak przypuszczalnie wyglądałby pierścień oglądany z powierzchni Saturna.

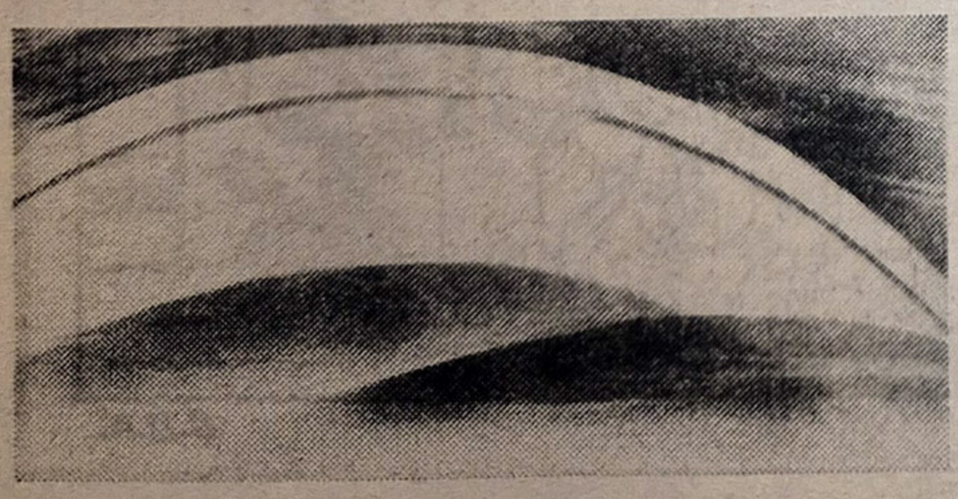

● **W ubiegłym miesiącu byliśmy świadkami kolejnego sukcesu radzieckiej kosmonautyki. 25 lutego powróciła na Ziemię z próbkami gruntu księżycowego „ŁUNA - 20". Było to w pewnym sensie powtórzenie eksperymentu „Łuny-16" z września 1970 roku. Jednakże tym razem aparat wylądował w trudniejszym, górzystym terenie księżycowego globu, pomiędzy Morzem Żyzności i Morzem Przesileń. Po raz pierwszy więc uzyskano próbki gruntu Księżyca z terenu „lądu".**

"ŁUNA-20"

Poprzednie pochodziły z tzw. „morza", które ma inną budowę geologiczną. Przypuszcza się, że tereny „lądowe" Księżyca są znacznie starsze od „mórz", mniej więcej o miliard lat.

Eksperyment „Łuny-20", jak również te, które nastąpią, przyczynią się do poznania przeszłości Srebrnego Globu, a pośrednio również Ziemi i całego układu planetarnego.

Obecnie istnieją trzy hipotezy dotyczące pochodzenia Księżyca. Według pierwszej Srebrny Glob jest ciałem „obcym", które zbliżyło się do Ziemi i jakby ku niej „przylgnęło". Autorzy drugiej są zdania, iż Księżyc oderwał się od Ziemi i przekształcił w jej satelitę. I wreszcie trzecia hipoteza zakłada, że Księżyc powstał jednocześnie z Ziemią z tej samej materii pyłowo-gazowej. Badania wieku skał księżycowych wcześniej czy później doprowadzą nas do poznania prawdy.

BOLEK i LOLEK
NA DZIKIM ZACHODZIE

Scenariusz:
WŁ. NEHREBECKI
Rysunki:
ST. DULZ

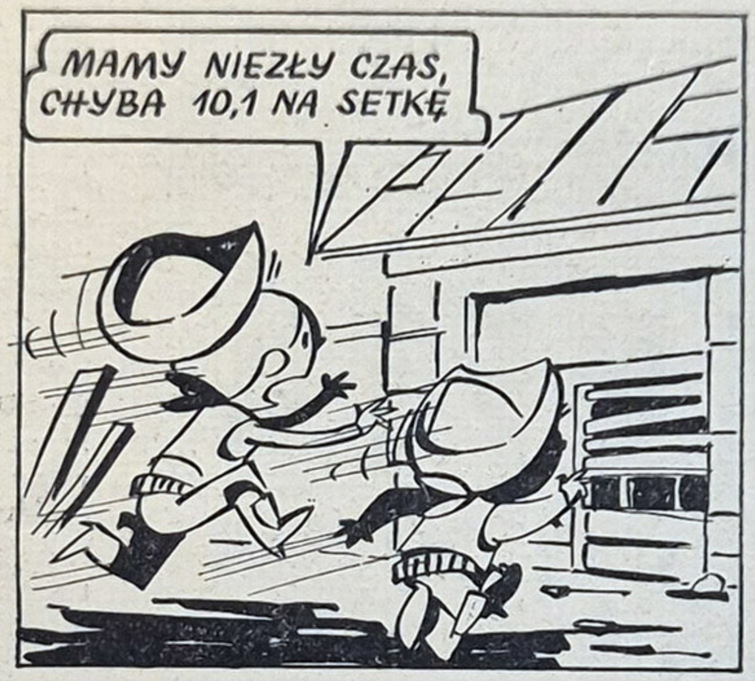

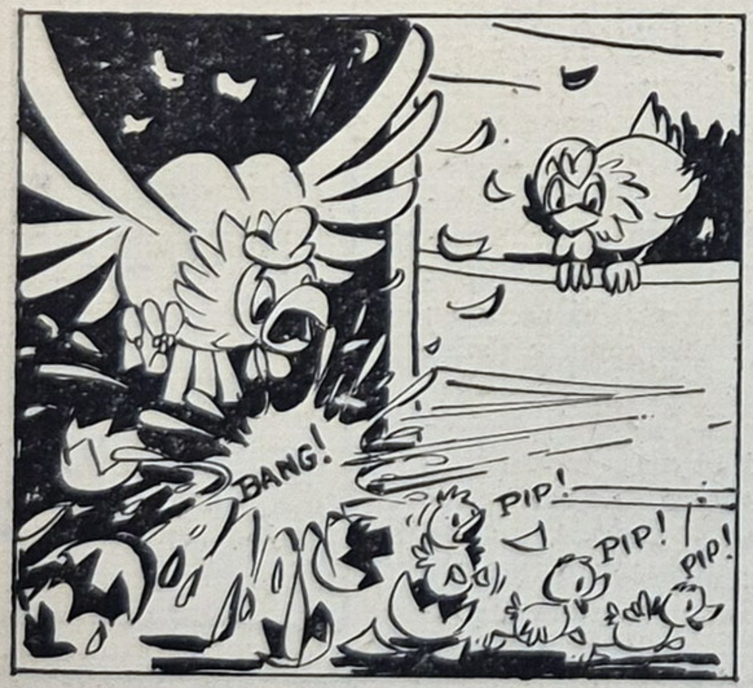

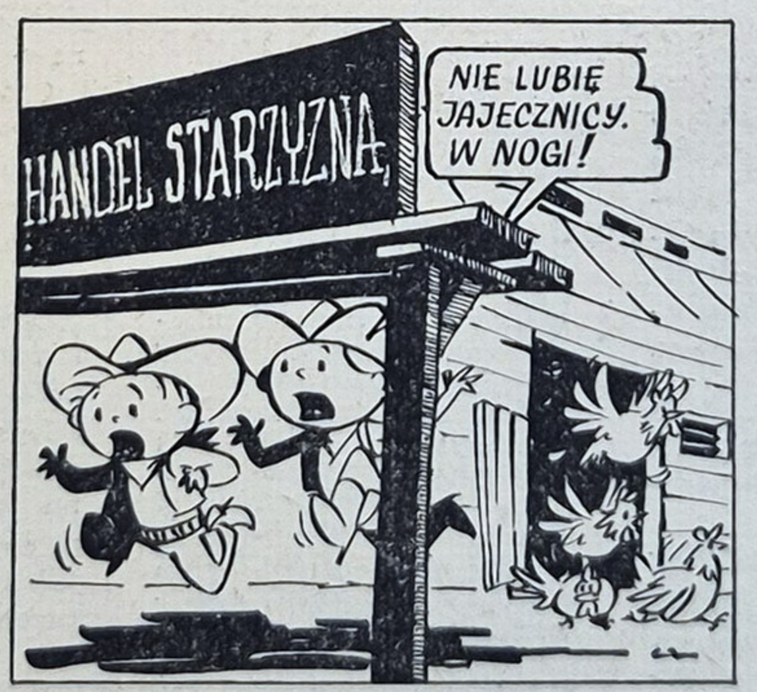

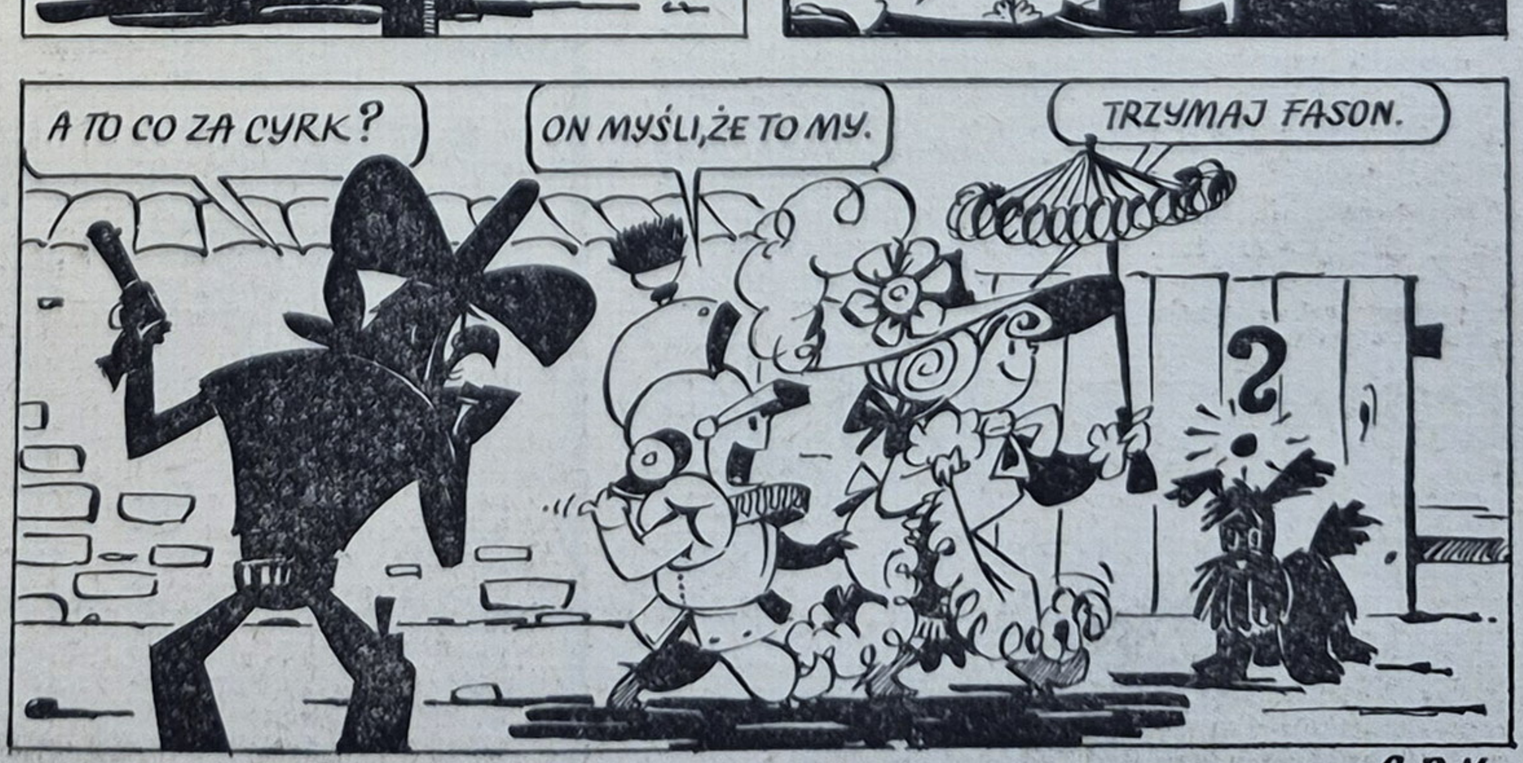

C.D.N.